

## Linia 12 — insectum

**Od autora:** Linia 12 to pierwsze opowiadanie, które zdecydowałam się opublikować. Niestety w dzisiejszych czasach ludzie niechętnie zapoznają się z literaturą, utwór nie spotkał się więc z szeroką gamą odbiorców. Poszukuję ludzi, którzy byliby chętni do czytania, jak i których dzieła mogłabym czytać, wymieniać się refleksjami, żeby dać upust swojej twórczości. Linia 12 jest wręcz „naćkana” drobnymi refleksjami o świecie, ale najważniejsza jest główna konkluzja. Jest to historia ośmiorga nieznanym, z których każdy ma zupełnie odmienne podejście do otaczającej rzeczywistości, odrębny świat wewnętrzny. Wsiadają oni do jednego tramwaju i od tego momentu są skazani na wspólne dopełnienie chichotu losu. Po zapoznaniu się z treścią tej nihilistycznie przewrotnej historii, nasuwa się pytanie: Dlaczego? Dlaczego akurat oni, dlaczego w ten sposób? Może warto dać sobie możliwość do zostania muśniętym lub nawet osaczonym przez takiego typu rozmyślenia...

---

Nie zdążyła... Nie powiedział... Nie pożegnał się... Zapomniała... Nie zauważył... Obiecała...

Gdyby nie to zdarzenie sprzed kilku lat... dni... godzin... sekund...

1.

Unikał ludzi. Nie lubił tego, że mówili do niego prozą. Każdy wypowiadał tylko puste, bezbarwne, bezdźwięczne słowa, których on nie rozumiał. Ciągi liter odbijały się od niego jak bumerangi. Każdy miał pozornie coś do przekazania, ale to nie miało żadnego znaczenia. On tylko widział poruszające się wargi i słyszał brzmienie przypominające nicość. Ludzie mówią prozą i sieją zarazę. Każdy w inny sposób. Ale tę samą zarazę. Nie chciał być skażony przeciętnością. To najgorsze, co mogłoby go spotkać. Dlatego nie chciał chodzić na terapię. Bliscy nie potrafili zrozumieć, że każde kolejne spotkanie z psychiatrą było kolejnym, coraz to większym krokiem w wyzbycie go osobowości. Jego indywidualnej osobowości. Nie chciał być jak każdy. Nie chciał być kolejnym, pozbawionym esencji życia przechodniem. Wtedy on też należałby do gminu siejącego zarazę. Największe przerażenie budził w nim dotyk. Kiedy ktoś zbliżał swoją plugawą, szarą skórę do jego skóry, czuł obrzydzenie. Ludzka fizjonomia była w jego oczach nacechowana turpizmem. Każdego dnia czuł jak krąży w nim krew, napastuje jego serce i podrażnia tętnice. Chciał czasem dać jej upust i pozbyć się tego skażonego płynu. Wiedział jednak, że jego żyły nie mogą być suche, bo wtedy uschnie jego wyjątkowość. Jego indywidualność. Nie podda się depersonalizacji.

Skończył rozmyślanie. Mijał bibliotekę pospiesznym krokiem. Tym razem nie dlatego, że roi się tam od prozy, ale dlatego, że spieszył się na tramwaj. Nie mógł spóźnić się na terapię. Postanowił na nią uczęszczać, żeby rodzice byli spokojni. Spokój rodziców był dla niego fundamentem, na którym dalej mógł budować i podsycać swoją wyjątkowość. Ustalił, że stworzy pozory chęci do zmiany, a tak naprawdę godzinami będzie siedział naprzeciwko jednego ze skażonych i tworzył barierę odbijającą puste ciągi liter. To rozwiązanie będzie dobre i dla niego, i dla bliskich.

Podsumowując strzępki własnych ustaleń, udał się na przystanek. Kiedy nadjechał tramwaj 12, przekroczył jego próg z ogromną niechęcią. Wiało tam zarazą.

2.

Słońce parzyło jej bosc stopy. Brak obuwia często czynił ją obiektem szyderstw, ale to ona w głębi duszy sztydziła z tych, którzy chodzą w butach. Sztydziła z tych, którzy dostosowują się do narzuconych norm. Groteską był dla niej fakt, że społeczeństwo samo stworzyło sobie ten chory system, w którym większość ludzi gubi się i zasady, do których trzeba się dostosowywać. Ironiczny w odbiorze ład i porządek świata stwarzał w rezultacie bardzo nieuporządkowaną rzeczywistość. Nieporządek ten polegał na ciemności

społeczeństwa. Uzurpacji praw do oceniania innych przez pryzmat wcześniej wyznaczonych reguł moralnych. Społeczeństwo przypominało jej talię kart. Ludzie wiecznie ustawieni w jakiejś hierarchii, podzieleni na tych lepszego i gorszego sortu. Damy, mimo że pozornie równe, i tak zawsze słabsze niż królowie- dla zasady. Jeśli dobrze się je potasuje, są posłuszne. Asy mieszają się z waletami, ale ciężko ich pomylić idąc ulicą. Czasem zdarzy się jakiś joker. Hierarchia społeczna była dla niej słuszna i sprawiedliwa, mimo iż nie zgadzała się do końca z niektórymi zasadami tego podziału. Niektórzy, stojący na samym szczycie tej drabiny wydawali się jakby znaleźli się tam przypadkowo. Jakby jedno małe, pozornie nieistotne zdarzenie zapoczątkowało jakiś ciąg błahych sukcesów, a w rezultacie doprowadziło ich w miejsce pozbawione pracy i wysiłku. Pozbawione samodzielnego myślenia i pokory. Nie potrafiła zrozumieć dlaczego as, który znalazł się kiedyś w pewnym odpowiednim miejscu o pewnej odpowiedniej porze bezkarnie wynosi się nad poczciwego waleta. Od wieków ludzie różnych stanów popadają w konflikty lub obustronną nietolerancję, dzielą się, separują, zajmując się doczesnymi sprawami. Patrzenie na życie przez lupę niepokojąco przybliżyła ich do gruntu. Analiza ludzkich spraw. Skłonność do konfliktów. Na to patrzyła z ironią i szczyptą pogardy. Obserwując ludzi afiszujących się swoimi przyziemnymi problemami, wyobrażała sobie świat jako mrowisko. Tak łatwo jest zdeptać mrówkę. Wystarczy tylko jeden krok, a życie pryska w sekundzie. Każda mrówka przeżyła przecież inne życie, każda jest tak odmienna i nad wyraz ważna. Ludzie nawet nie zdają sobie sprawy jak ich problemy są nikłe. Nie zdają sobie sprawy, że są marionetkami wszechświata. Nie zdają sobie sprawy, jaką potęgą są otoczeni. Koncentrują się na tym, co można dotknąć. Ludzka egzystencja to tylko ziarenko piasku na tle pustynnych krajobrazów. Mówi się, że jesteśmy kowalami własnego losu. Ona wiedziała, że to płytką teorią tych, którzy obnoszą się dumą. Wierzyła, że człowiek obdarzony jest wolną wolą, wierzyła, że każdy jest menadżerem swojego życia, ale nie wykluczało to faktu, że każde jego działanie doprowadza go inną drogą do punktu wyjścia. Tyle dróg prowadzi w to samo miejsce. W to miejsce, odgórnie wyznaczone przez los. Paradoksalnie, życie ludzkie jest bezcelowe, ale ma cel we własnej istocie. Każde pozornie nieistotne wydarzenie może być początkiem niezwyklej historii. Pierwszym elementem jakiejś układanki lub ostatnim elementem innej. Każdy popełniony błąd radykalnie zmienia nasze życie na lepsze. Ludzie przenoszą znaczenie z pokolenia na pokolenie. Przenoszą problemy, odbijają doświadczenia. Sensem jest wyzbywanie się ich, czerpanie nauki, która jest istotna tylko w ludzkim świecie. Nie rozumiała dlaczego ludzie nieustannie dążą do tego, żeby spełniać oczekiwania i wymogi innych. Nie znają swoich potrzeb. Pragną tylko ciągle być oceniani. Pragną wciąż zasługiwać na czyjąś akceptację. Pragną wpasowywać się w schematy i odgrywać role. Tak, jakby cały świat był tylko jakimś spektaklem. Grają między sobą w różnego typu gry, większość rzeczy robią dla korzyści lub zaskarżenia sobie uznania innych. Podczas tych wszystkich rozgrywek zapominają o tym, że całe życie spędzają ze sobą. Zapominają, że to oni sami są tą osobą, którą do własnej śmierci muszą akceptować.

Wzięła głęboki oddech. Oddychanie jest wentylacją duszy. Ta pozornie prosta czynność posiada cudowne właściwości. Spojrzała na otaczające ją drzewa. Jeśli istnieje jakiś dowód na to, że ludzki świat nie jest jedynym wymiarem rzeczywistości, to tylko potęga natury. Wszechwładne oceany, wielobarwne kwiaty i owoce, niezwykła różnorodność fauny- to były dla niej wystarczające dowody. Natura była dla niej łącznikiem między dwoma, a nawet kilkoma wymiarami. Była jedyną rzeczą, którą zarazem dało się podziwiać ludzkimi zmysłami i traktować jako strefę sacrum. Uważała, że trzeba doceniać zwykłe, prozaiczne rzeczy, czynności i zdarzenia jako dary zesłane przez Naturę. Czerpała radość ze spaceru chodnikiem, z rozmowy z sąsiadem, z zakupionego goździka. Teraz także odczuwała radość. Cieszyło ją to, że idzie na przystanek. Cieszyło ją to, że zrobi dobry uczynek. Sąsiadka poprosiła ją o kupienie mleka. Jedna mała rzecz sprawiała jej tyle przyjemności. Radosnym krokiem zmierzała w kierunku krańcówki, gdzie stał tramwaj numer 12.

3.

Czuła się nieustannie obserwowana. Setki spojrzeń dogłębnie eksplorowało jej wewnętrzne „ja”, które czuło się źle we własnym ciele. Doskonale wiedziała, że dwumilimetrowa asymetria piersi, szkaradnie ułożona tkanka tłuszczowa w okolicach ud i fakt, że jedną brew ma dłuższą od drugiej czynił ją najpaskudniejszą istotą na ziemi. Jednak największym jej kompleksem był ten środkowy palec u stopy. Nie mogła patrzeć na siebie w lustrze. Ilekroć kupowała nowe zwierciadło, tłukła je, żeby nie oglądać dłużej swojej okropnej twarzy. Czuła się jak karykatura kobiety. On utwierdzał ją w tym przekonaniu. Wiedziała, że jeśli nie pojedzie na kolejną wizytę do kliniki medycyny estetycznej, on rzuci ją, a wtedy już nie będzie nic warta. On był jedyną ważną osobą w jej życiu, ale nie zasługiwała na niego. Aby zasłużyć, musiała doprowadzić swoje ciało do porządku. Nurtowało ją tylko to, że im większej ilości zabiegów poddawała się, tym kompleksów wcale nie ubywało. Zawsze znalazła się jakaś kolejna niedoskonałość, którą trzeba było naprawić. Zawsze było dziesięć tysięcy problemów dręczących jej biedną duszę. Na każdy z nich zawsze trzeba było ponarzekać. Co jakiś czas, dla zasady, trzeba było poużalać się nad swoim przygnębiającym życiem. Tylko on dodawał jej nadziei, że może być lepiej. Mówił jej czasem miłe słowa, ale po każdym takim zdaniu pobrzmiwała jej tylko ta część: „Gdybyś nie była taka tłusta, to...”, „... gdybyś umówiła się z doktorem na botoks”. To lekko ją niepokoiło, ale po chwili przypominała sobie te części zdania, które podnosiły ją na duchu: „...byłabyś piękna”, „Może dałbym ci buziaka...”. Nie wiedziała, czemu ciągle ma do siebie żal. Przecież dzięki niemu powinna być szczęśliwa.

„Gruba, brzydka, odrażająca”- pomyślała chwilę. „I beznadziejna”. Tak, to właśnie by o sobie powiedziała, gdyby miała siebie opisać w kilku przymiotnikach. Przez to, że była taka paskudna, wszystko dookoła ją denerwowało. Deszcz, który stukał w szybę tramwaju, dzieci bawiące się na placu zabaw, ptaki, które śpiewały radosną melodię. Wszystko to doprowadzało ją do apogeum wściekłości. Najgorszy stan osiągała, kiedy dowiadywała się o sukcesach innych. One przygnębiały ją bardziej niż jej własne porażki. Piekiło, które sama sobie stworzyła okryte było zawistnym uśmiezkiem i podkładem z Bourjois, a realne emocje zatuszowane pewnego rodzaju słownym rimmingiem. Miała dwa oblicza: bezsilne i jadowite. Właściwie jad był iluzją bezsilności. Był maską, a bardziej workiem, w którym była uwięziona. Chorobliwie pragnęła się z niego wydostać, waląc rękami i nogami, ale im bardziej próbowała uciec, tym większą niemoc odczuwała.

Przerwała wszystkie frustracje, bo nadszedł czas przesiadki z tramwaju numer 5 do tramwaju numer 12. Już coraz mniejsza odległość dzieliła ją od kliniki. Uśmiechała się na myśl, że niedługo naprawi kolejny mankament w swojej urodzie. Coraz bliżej powierzchni było marzenie, w którym nareszcie do siebie pasują.

4.

Szedł ciężkim krokiem. Oddychał ciężkim powietrzem. Żył w ciężkim świecie. Podmuch szarej rzeczywistości zdominował jego mały świat. Mały, ale pełen pustej przestrzeni. Od dawna stał w miejscu. Żył przekonanie, że każde działanie prowadzi go do klęski, więc owych działań unikał. Omijał szerokim łukiem aktywistów, coachów, moralistów i ludzi głoszących motywujące hasła typu: „Porażka jest drogą do sukcesu”, „Jesteś kreatorem własnego losu”. Porażka to porażka i, jakby na to nie spojrzeć- ludzie ciągle ponoszą klęskę. Nawet jeśli wydaje im się, że udało im się coś osiągnąć- ponieśli klęskę. Awans- droga do samozagłady. Nowy związek- autodestrukcja. Świeżo urodzony bachor- żenada. Praca na coraz to wyższym stanowisku to droga do fizycznego lub psychicznego zmęczenia i wyniszczenia. Miłość to uczucie wytworzone przez desperacki umysł, złudzenie, iluzja lęku przed samotnością, kwestia

nastawienia i chęci zaspokojenia potrzeby jakiegokolwiek bliskości. Rodzenie dzieci jest jak produkcja kolejnych wadliwych owoców klęski, a wychowywanie ich- jak programowanie systemu porażki i ciągłych niepowodzeń. Matki są jak maszyny do masowej produkcji szarej, jednakowej materii, nawet nie kontrolują co dzieje się na linii produkcyjnej. Nie rozumiał, dlaczego ludzie cieszą się z takich głupot i uznają je za jakieś osiągnięcia. Być może to zasługa perswazji tych wspaniałomyślnych coachów i ich mądrości, które skupiają się na przekonywaniu szarej masy o ich wyjątkowości i dzieleniu ich na osobne jednostki. To tak jakby wziąć jakiś duży, plastikowy przedmiot o stałym stanie skupienia i podzielić go na cząsteczki, a potem atomy. Ludzie nie zdają sobie sprawy z własnej głupoty. Hipsterzy prowokują wyglądem, propagując postawę „wyróżniaj się z tłumu”. Feministki podkreślają, że każda fałdka jest piękna, bo czyni je wyjątkowymi i różnorodnymi, a każda zmarszczka jest atutem ,bo dzięki temu są odmienne. Intelktualisci wyróżniają się mądrością, bo jak powiedzą kilka słów o rodzajach liści i łodyg, mogą poczuć się lepiej niż „przeciętny” pracownik sklepu. Każdy chce przynależać do jakiejś subkultury. Ubrania są produkowane masowo, szyte na jedno kopyto. Botoks wstrzykiwany jest każdej pani w te same okolice, żeby upodobnić ją do reszty podobnych pań, bo tak właśnie wygląda współczesny kanon piękna. Reasumując: każdy jest taki sam i dąży do tego samego. Różnimy się tylko drobiazgami. Każdy ma zbliżonej wielkości mózg, który ma tendencje do pochłaniania pewnej ilości informacji. Każdy ma tchawicę i płuca, niezależnie czy są one uszkodzone nikotyną, przesiąknięte dymem z e-papierosa ,czy zdrowe i zadbane. Każdy ma rękę, nogę, dupę... I każdy kiedyś będzie zakopany kilka metrów pod ziemią. Dance macabre. Niezależnie czy jesteś bezdomnym, który umrze z zimna, pijakiem, który w końcu się zapije, ćpunem, który w końcu się zaćpa, czy miłą, lecz otyłą pracowniczką fundacji, która niedługo zejdzie na zawał- i tak zostaniesz zakopany gdzieś pod ziemią, a na grobie będzie tylko data zgonu i nazwisko. Poeci, filolodzy, doradcy zawodowi, hodowcy kotów i fizjoterapeuci. Oni tylko użyźniają glebę. Są bardzo dobrym nawozem. Każdy składa się z tych samych pierwiastków i tak samo dobrze wpływa na rozwój roślin czy grzybów. Pod ziemią nie ma znaczenia ,kto miał szczuplejsze nogi czy bardziej zadarty nos. Rozłoży się w tym samym tempie co inni.

Zabłądził myślami gdzieś w meandrach mroku. Wędrując po Górach Celu Istnienia, trafił do Doliny Bezsilności i tam zakończył swą podróż. Gdzieś w głębi duszy wiedział, że jest więźniem własnego umysłu, ale nie miał czasu, żeby sobie to uświadomić. A może nie miał chęci. Nie miał chęci na nic, odkąd pamiętał. To było jedną z przyczyn, dlaczego zaplanował ucieczkę. Dzień wcześniej spakował wszystkie potrzebne rzeczy, wybrał odpowiednią porę, sprawdził rozkład jazdy tramwaju numer 12. Teraz, w drodze na przystanek rozmyślał o dalszym planie działania. Bezwiednie przyznał się przed sobą, że nie wie, gdzie pojedzie. Nie wie, co robić dalej, ile ma środków na koncie, gdzie się zatrzyma i gdzie zrobi zakupy. Wiedział tylko, że zacznie ucieczkę od zajęcia miejsca w tramwaju numer 12.

5.

To był najpiękniejszy dzień w jej życiu. Nigdy nie czuła się tak podekscytowana. Płynęła po mieście jak lilia rzucona na rwące prądy rzeki. Jego głos był ukojeniem dźwięczącym w jej głowie, a dotyk wprawiał jej skórę w mikroskopijne drgania, które tłumili złe emocje. Ta chwila już na zawsze pozostanie zapisana w jej pamięci jako wielki krok w kierunku ewolucji emocjonalnej jednostki. Krok w kierunku stabilizacji i pragnienia bliskości. Nawracająca myśl o tym wydarzeniu otworzy w jej głowie kod, który da sygnał endorfinom. Nie była skłonna uwierzyć w to, że myśl to tylko drobne spięcie w układzie nerwowym, wyładowanie elektryczne. Otoczona wspomnieniami sprzed kilkunastu minut uległa rozmarzeniu. Pierwszy pocałunek to wielki moment w życiu każdej młodej kobiety. Tak samo jak zakup pierwszych szpilek. Zdecydowała, że powie mamie o swojej pierwszej miłości, zaraz po powrocie do domu, od którego dzieliły ją tylko trzy przystanki. Czekala ją krótka droga tramwajem. Każdy tramwaj startujący z tego przystanku zatrzymywał się centralnie pod jej oknem, ale dzisiaj wybrała tramwaj numer 12. Piękna liczba,

tak samo jak ten dzień.

6.

Myśl wcale nie jest tak ulotna jakby się wydawało. Dźwigał nie tylko ciężką walizkę, ale też brzemie, które nie dawało mu spokojnie spać. Wiedział, że każdy patrzy na świat przez filtr subiektywnie nabytego doświadczenia i układa sobie życie na wzór obserwacji zaprogramowanych w głowie już w latach wczesnego dzieciństwa. Był przedstawicielem tej grupy społecznej, dla której największym wrogiem jest jej własny umysł. Nigdy nie potrafił przejąć nad nim kontroli. Sam stwarzał sobie lęki, generował przytłaczające myśli i powtarzał je jak mantrę, poza poziomem świadomym. Wiedział, że każdy nosi w sobie demona, jednych dotyka fizycznie, innym wchodzi w podświadomość i sprawia, że sami zadają sobie ból. On definitywnie był tym drugim. Stykał się z tym już od najmłodszych lat. Najbardziej przybijał go fakt, że owego demona nigdy nie tworzą obcy dla nas ludzie. Zawsze jest podwładnym kogoś bliskiego. Wykonuje podświadome rozkazy mam, babć, wujków, rodzeństwa czy nawet samej ofiary. Zawsze zna nasze najczulsze punkty i najbardziej obezwładniające słabości. Zaprzyjaźnia się z nami i karmi nas, a my to łykamy. W całości. Dla swojego demona zawsze zrobimy wszystko, oddajemy się dla niego ascezie, dokonujemy wyrzeczeń. Jesteśmy jego niewolnikami i pragniemy, żeby został z nami na zawsze i nigdy, nigdy nas nie opuścił. Jesteśmy masochistami z wyboru, nie lubimy zmian, bo to niekomfortowe. Gdyby miał napisać swoją charakterystykę, porównałby się do fakira, któremu gwoździe już dawno przebiły duszę, a mimo to sam się na nich regularnie kładzie.

Stanął na chwilę. Walizka, którą za sobą ciągnął wydawała się coraz cięższa. Buchał od niej coraz większy odór. Było gorąco. Musiał zachować spokój. To tylko dziesięć przystanków. Robił to już nieraz i musiał pokonywać znacznie większe odległości ze znacznie cięższymi bagażami. Minusem było tylko to, że teraz musiał zrobić to w dzień. Ruszył z powrotem.

Powtarzał sobie, że tylko w obliczu sytuacji kryzysowych jesteśmy w stanie poznać swoje granice. Kiedy prowadzimy szary tryb życia, nie zdajemy sobie sprawy, do czego jesteśmy zdolni. Niestety znaczna większość społeczeństwa prowadzi szary tryb życia. Ludzie do śmierci nie wiedzą, kim są, nie znają swoich możliwości. Nie przytrafiają im się sytuacje, w przepływie których mogliby je poznać. Ludzie są coraz głupsi. Sprawiają wrażenie, jakby budowa ich czaszki przypominała durszlak. Nie gonią żadnej myśli, nie słuchają, zapamiętują tylko to, co ich interesuje, czyli nic. Nie kodują faktów, nie mają refleksji ani intuicji. Żyją algorytmami, nie dumając nad sensem tego życia.

Przez jego głowę przebrnęła pewna myśl. W jednym procencie zaczął rozważać rzucenie walizką i pojechać na komisariat. Jakąś częścią siebie chciał przyznać się do winy. Inną częścią, w tym samym czasie zadał sobie pytanie: „A co jeśli śmierć to stan umysłu?”. Wszyscy jesteśmy uzależnieni od własnych myśli, ale też nieświadomi, że każda z nich jest sygnałem wysyłanym gdzieś w przestrzeń, który ktoś gdzieś może odebrać. Mózg sprawuje kontrolę nad każdym narządem w organizmie i wpływa na ich funkcjonowanie. Rozmyślał nad tym, czy perswazja podświadomości i doznań umysłowych jest na tyle silna, by wywołać zgon. Przykładowo, jeśli pani A jest nieuleczalnie chora na raka i ma świadomość, że zostało jej niedużo czasu, programuje swoją głowę na bliską śmierć, a w rezultacie podświadomie sama decyduje, że to już jej czas. Lub jeśli pan B widzi, że niedługo pan C dźgnie go nożem, przygotowuje się na ten wypadek, planując na szybko swój tragiczny koniec. W momencie dźgnięcia, jego umysł dostaje sygnał, że to już teraz. I takim oto sposobem ostatnią osobą jaką zobaczył pan B był jego morderca. Może i był staroświeckim tradycjonalistą, ale zasmucał go fakt, że ostatnią osobą jaką widzi ofiara, jest jej morderca. Zdawał sobie też sprawę, że nigdy nie mamy pojęcia lub chociaż pewności, kiedy widzimy kogoś po raz ostatni. Być może jest to zjawisko piękne, bo zaprojektowane przez świat. Uważał, że ludzie powinni ufać temu jak stworzyła ich natura, nie wybiegać przeciw niej. Dlatego też miał problemy z prawem. Samo to, że ono powstało, dowodzi, że ludzie z natury mają skłonności do kradzieży, bójek, za-

straszania innych, gwałtów i innych takich zachowań, które powszechnie uznane są za przestępstwa. Prawo powstało, po to, aby powstrzymać coś co wpisuje się w kategorie „zła”. Ale on wiedział, że „zło” nie istnieje. Nie ma złych ludzi, są tylko zranieni. Cierpienie wywołuje złe czyny i zamyka błędne koło. Ludzie są z reguły dobrzy lub neutralni, cokolwiek owe dobro miałyby oznaczać. W każdym złu drzemie jakieś dobro. Złe sytuacje wywołują niekiedy dobre zakończenia. Złe doświadczenia generują dobre wnioski. Mniejsze zło czasem powstrzymuje większe zło. Ale to wszystko dzieje się poza strefą możliwą do odebrania za pomocą przyziemnych zmysłów. A więc, kiedy dzieje się coś złego, po to żeby wywołać coś dobrego, człowiek określa to mianem jednolitego zła. Świat w jego oczach jest czarno-biały. On wiedział, że świata nie da się opisać słowami. Trzeba go poczuć. Wierzył, że kiedy Los zamyka drzwi, zawsze otwiera jakieś okno. Jakieś małe okienko, gdzieś na poddaszu, które trzeba tylko dostrzec, oczyścić, delikatnie otworzyć, pogłaskać i powiedzieć: „Dziękuję”.

Łza spłynęła po jego twardym, wysuszonym od słońca policzku. Wierzył, że to się skończy. Wierzył, że to ostatni raz. Dziesięć przystanków tramwajem numer 12.

7.

Godzinami zastanawiał się, jak mu to powiedzieć. Nic nie wymyślił. Cały czas słyszał ten dźwięk, głuchy dźwięk tłuczonego szkła. Wiedział, jak ważne to dla niego było. Zabytkowy, ceramiczny wazon. Poślaczany. Niestety nie wpadł na inny pomysł niż perfekcyjne sklejenie kolekcjonerskiego okazu i postawienie go w tym samym miejscu jak gdyby nigdy nic się nie wydarzyło. Gdy zajrzał do szuflady, okazało się, że nie ma kleju. Miał dwie godziny na naprawienie zabytkowego dzieła. Założył więc swoje rudopomarańczowe mokasyny i wyszedł z domu.

Był skrajnym pacyfistą. Uważał, że ludzie powinni szanować siebie nawzajem. Dziwił go fakt, że w rzeczywistości jest inaczej. Ludzie, którzy nie szanują innych muszą odczuwać ogromną pustkę. Oddają tyle energii, ile sami dostali. Najgłębsze współczucie uruchamiało się w nim jednak dla ludzi, którzy szerzą nienawiść. Uważał, że istotą nienawiści jest cierpienie. Nienawiść to iluzja naruszonego poczucia bezpieczeństwa. Jak bardzo trzeba być zranionym i bezsilnym, żeby kogoś nienawidzić? Ludzie tracą dużo czasu na magazynowanie nienawiści. Pragnął im pomóc. Mimo to, zdawał sobie sprawę, że oni nigdy nie przyznają się, że tej pomocy potrzebują. To zawsze trwa za długo. Dorośli wyplewiają z dzieci ich naturalną radość, ucząc ich nienawiści. Zastępują naiwną szczerą, sztucznie stworzoną przyzwoitością. Tłumią śmiech i płacz, śmiejąc się na potrzeby innych i płacząc po kątach. Nie zrzucal na nich winy, bo wiedział, że to nieuniknione. Sami się tego nauczyli, więc w dobrej wierze przekazują to dalej. Tak musi być.

Swój światopogląd zachowywał dla siebie. Z ludźmi rozmawiał głównie o pierdołach. W wyrażaniu własnej opinii hamowała go definicja wypowiedzi trójplaszczynowej. Pierwszą płaszczyzną była faza myśli. W nieograniczonym świecie wyobraźni, jego przemyślenia przybierały różne kształty, formy, układały się w różnorodne wzory urozmaicone przygaszonymi lub żywymi barwami. W fazie myśli wypowiedź ma najgłębszy sens. Drugim etapem jest przekaz. Tutaj dana myśl traci na wartości, traci moc. W fazie przekazu przeszkodą jest ograniczający słownik oraz zasób słów mówcy. Należy rozróżnić te dwa pojęcia. Niektóre słowa po prostu nie istnieją. Niektórych myśli nie da się opisać słowami, nawet jeśli mówca jest elokwentny i posługuje się szeroką gamą wyrazów. Na trzeciej płaszczyźnie, wypowiedź zupełnie traci swoją głębię. Trzecia faza, jest to faza odbioru wypowiedzi. Odbiorca słyszy tylko słowa, często niespójne z sensem realnej myśli, przepuszcza je dodatkowo przez subiektywny sposób myślenia i asymiluje z własnym punktem widzenia. W ten sposób wytworzona w głębi neuronów nadawcy myśl, zmienia swoje znaczenie i traci wartość. Właśnie dlatego był powściągliwy w wyrażaniu swojej opinii na wiele tematów.

Znowu usłyszał ten dźwięk. Przypomnił sobie o stłuczonym wazonie i o tym, jaki był cel jego wędrów-

ki. Klej. Mocny klej. Dotarł na przystanek i sprawdził rozkład jazdy. Za cztery minuty podjedzie tramwaj numer 12.

8.

Stał na krańcówce i dopalał trzeciego papierosa. Miał minutę opóźnienia, ale zupełnie go to nie obchodziło. Kierowanie tramwajem nie było jego wymarzonym zawodem, ani nie wymagało w jego oczach dużej odpowiedzialności. Był dokładnie tym typem człowieka, który po dziesięciokrotnym nadzianiu się na tę samą igłę, zrobi to po raz jedenasty. Tym typem, przez którego zanika poezja i papierowe książki, ulega erozji literatura patetyczna, a jedynym źródłem kultury jest polski rap. Wulgaryzmy nie urozmaicały jego wypowiedzi ani nie dodawały im ekspresji, ale stanowiły 98% wypowiedzianych słów. Jego zainteresowaniem była tania wódka i osiedlowe dziewczyny w dresie adidasa, włosach spalonych od rozjaśniaczy i przepalonym głosem. Nie doceniał tego, że wujek próbował wyciągnąć go na prostą. To on załatwił mu pracę, której zupełnie nie szanował. To on chciał wynająć mu mieszkanie w przyzwoitej dzielnicy, ale on wolał osiedle. To on przedstawił mu córkę znajomych jako potencjalny materiał na wybrankę, ale ona wydała mu się „eufemistycznie mówiąc” dziwna. Z resztą każda baba ma coś nie tak pod kopułą. Wszystkie są jakieś takie niepewne, niezdecydowane. Jediną kobietą, jaką szanował była jego matka. O nią zawsze walczył. O nią zawsze się bił, kiedy ktoś na nią nabluźnił. To była jedyna kobieta godna szacunku. Czemu? Bo tak! Przekazała mu najważniejsze wartości: Bóg, honor, ojczyzna. O nie też dzielnie walczył. Była jeszcze jedna rzecz, dla której zawsze był gotów stracić zęba: jego ulubiony klub piłkarski. To była esencja jego życia.

Czasem coś wciągnął, ale nigdy w dzień pracy. O to dbał. Zawsze kierował trzeźwy i czysty. Jeździł raczej ostrożnie, ale zawsze się spóźniał. Przez niego linia 12 miała co najmniej piętnastominutowe opóźnienia. Wuj doskonale o tym wiedział, dlatego często dzwonił do niego, aby przyspieszyć jego tempo pracy. Tym razem również nie zapomniał o telefonie do bratanka. Po zdawkowej i lakonicznej rozmowie, wsiadł sfrustrowany do tramwaju. Poprawił czapkę z daszkiem i rozpoczął trasę.

Miał w wagonie siedem osób, kiedy wuj znowu zadzwonił. Tym razem był rozwścieczony. Kierownik dowiedział się o opóźnieniach. Jego choleryczny charakter zdecydował za niego. Rzucił telefonem, wcisnął z całej siły pedał gazu... Nie zauważył...

Szkło.

Dym.

Głośny dźwięk.

Szyny się skończyły.

Ta walizka, którą niósł ten mężczyzna...

Bose stopy tej kobiety...

Szum.

Krzyk.

Upał.

Zakrwawione linoleum.

Kartka papieru, która wyleciała z plecaka tej dziewczyny...

Rozpacz.

Ciemność.

Wszyscy zginęli.

Gdyby nie terapia, mleko, zszargane poczucie własnej wartości, ucieczka, chęć powrotu do domu, po-

ćwiartowane zwłoki w walizce, wazon i wuj...

Czy każde najdrobniejsze wydarzenie jest jednym z elementów układanki stworzonej przez los?

A może to nie miało żadnego znaczenia. Może to tylko losowa garstka zdeptanych mrówek, podczas gdy ich bracia biegają w kółko po mrowisku, lepiąc się do rozlanej na chodniku Fanty.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

---

insectum, dodano 27.05.2021 21:16

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).